

Tematy tygodnia

- 12 Łukasz Wójcik
**Polskie dylematy:
lepszy Trump
czy Merkel?**
- 16 Rafał Kalukin
**Czy łączy nas
już tylko piłka**

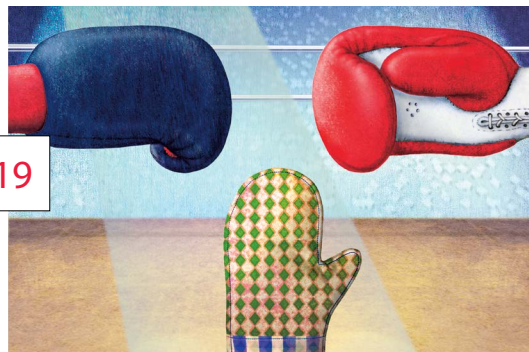
12



Polityka

- 19 Mariusz Janicki
Mit trzeciej siły
- 22 Marcin Matczak
**Dziwne 15 pytań
Andrzeja Dudy**
- 25 Ewa Siedlecka
Zasłona z sumienia
- 28 Anna Dąbrowska
**Marcin Horała
nabiera wagi**

Polska pośrodku Atlantyku



19

Społeczeństwo

- 30 Joanna Cieśla
**Pacjenci pozbawieni
godności**
- 34 Wójt Jerzy Murzyn
o polityce w mikroskali
- 37 Jagienka Wilczak
**Mielczanie
przeciwno trucielom**
- 40 Piotr Pytlakowski
**Co wiemy
20 lat po zabójstwie
gen. Marka Papały**

Czy powstanie trzecia siła?



25

Rynek

- 42 Adam Grzeszak
**Prąd plus
– czyli będzie drożej**
- 45 Rozmowa z **Martinem
Wolfem** o tym,
jak polityka PiS wpływa
na pozycję Polski w świecie

Wojna sumienia z równością

Świat

- 48 Michał Górski
**WŁOCHY
Mały samiec alfa**
- 51 Dariusz Kałan
**WĘGRY-MACEDONIA
Orbán poszerza wpływy**
- 54 Paulina Wilk
**Feministki
od Argentyny
po Japonię**

100



Rosja tuż za miedzą

Historia

- 58 Radosław Ptaszyński
**Najgroźniejszy
antysemicki incydent II RP**
- 62 Paweł Szulc
Piłkarze od gen. Andersa

Nauka

- 64 Andrzej Hołdys
Jak schłodzić Ziemię
- 67 Przemek Berg
Kosmiczna Tarantula
- 68 Paweł Walewski
Ofiary fibromialgii

Ludzie i style

- 72 Piotr Sarzyński
**Design społecznie
zaangażowany**
- 75 Marcin Piątek
Jak Rosja patrzy na futbol

Kultura

- 82 Bartek Chaciński
Hip-hop hipster
- 86 KAWIARNIA LITERACKA
Piotr Paziński
- 87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 88 Jagienka Wilczak
**Biserka Rajčić – honorowa
krakowianka**
- 90 Edwin Bendyk
**Bernard Stiegler:
jak uratować przyszłość**
- 92 Aneta Kyzioł
**Warlikowski
wraca do Warszawy**

Na własne oczy

- 100 Ziemowit Szczerek
Mundial w Kaliningradzie

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 78 Afisz • 94 Passent
- 95 Chutnik i Plebanek
- 96 Stomma • 97 Tym
- 98 Do i od redakcji • 99 Fusy
- 106 Polityka i obyczaj



GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Nienawiść podprogowa

Sytuacja mediów w Polsce niepokoi polityków PiS i trudno się im dziwić. „W tej chwili w Polsce mamy pełną wolność mediów” – alarmował wicepremier Piotr Gliński podczas międzynarodowej konferencji „Media jako służba publiczna”. Winnych tej sytuacji Gliński z nazwisk nie wymienił, ale nie krył, że za wolnością mediów stoją ich właściciele, ludzie „w dalszym ciągu wywodzący się z czasów komunistycznych”. Ubolewał, że przez takich ludzi polskie media „są podobne do mediów zachodnich”, co widać m.in. w zaangażowaniu w propagandę, nastawieniu na sensacje oraz „połączeniu informacji i rozrywki”. To ostatnie jest moim zdaniem szczególnie szkodliwe, gdyż mniej wyrobionemu widzowi, który ogląda programy w TVP Info, trudno się zorientować, czy ma do czynienia z produkcjami publicystycznymi, czy satyrycznymi.

Zgadzam się z Glińskim, że postkomunistyczne wolne media upodabniają się do mediów zachodnich, są dla samych siebie dużym zagrożeniem. „W tej chwili mamy taką sytuację, że ponad 80 proc. mediów koncentruje się na walce z naszą demokracją, z naszym rządem” – narzekał wicepremier. Uważam, że w tej sytuacji trudno przewidzieć, ile procent tych mediów zdoła się obronić przed upadkiem lub repolonizacją. Na szkodliwą rolę wolnych mediów brakowało dotąd naukowych dowodów, na szczęście dostarczył ich redaktor Michał Karnowski, który przez cały dzień oglądał pewną komercyjną stację,



żeby zobaczyć, jak zareaguje jego organizm. Skutki przekroczyły niestety wszelkie granice. „Nie wiem, jak to jest robione, podprogowo czy jakoś inaczej, ale człowiek po kilku godzinach oglądania bez przerwy tej stacji, zaczyna nienawidzić tego rządu, PiS-u, prezesa Kaczyńskiego” – stwierdził na portalu wPolityce.pl przerażony Karnowski, który na dodatek zorientował się, że po tych kilku godzinach „nienawidzi i nie rozumie sam siebie”.

Osobiście uważam, że Karnowski niepotrzebnie ryzykował, bo zdrowie jest najważniejsze. Mimo to chcę powiedzieć jasno: nie ma mojej zgody na to, co ta stacja mu zrobiła. Z Karnowskim można się nie zgadzać, ale nie można podprogowo zmuszać go do nierozumienia siebie i okazywania nienawiści sobie, rządowi i prezesowi PiS. Całe szczęście, że nienawiść do siebie i rządu nie odebrała Karnowskiemu resztek rozumu i po jednym dniu z powrotem przełączył się on na TVP, gdzie na widok red. Holeckiej koszmar ustąpił, sympatia dla rządu i prezesa powróciła, a Karnowski znowu zaczął siebie rozumieć. Mimo to nalegam, aby zgłosił się do wicepremiera Glińskiego i ujawnił mu nazwę tej stacji, żeby w trosce o innych widzów można ją było szybko repolonizować.

iSpot prezentuje lato!



Niezależnie od sytuacji i od tego, czy spędzasz wakacje w pracy przed biurkiem, czy na rodzinnym wyjeździe, zawsze możesz korzystać z komputerów Mac od Apple i cieszyć się z ich możliwości. Klasyczny MacBook, ten w wersji Air lub Pro, a może kultowy iMac? Bez problemu znajdziesz odpowiedni komputer, który spełni Twoje wszystkie oczekiwania.

Modele z serii MacBook idealnie sprawdzą się w aktywnym trybie życia. Mała waga, kompaktowe rozmiary i legendarny już design to tylko namiastka wielu zalet tych produktów. Prawdziwa ich moc kryje się w środku. Wydajne procesory, duża pamięć operacyjna, a także bateria o długiej żywotności pozwalają na pracę praktycznie w każdych warunkach. Model MacBook Air działa nawet do 12 godzin bez konieczności ładowania. Oznacza to, że możesz korzystać z niego praktycznie przez cały dzień – od śniadania aż do kolacji. Praca w pociągu podczas podróży służbowych, wielogodzinne zebrania w biurze – zawsze możesz wygodnie pracować bez podłączania notebooka do ładowania.

MacBook Pro dzięki szybkiej pamięci masowej pozwala na obsługę skomplikowanych programów, które nie obciążą procesorów, przez co wszystkie zadania zostaną zrealizowane błyskawicznie. Maksymalne

przyspieszenie, z którego słynie ten model, ułatwia bycie wielozadaniowym i przygotowanym na każdą okoliczność.

A jeśli ktoś woli sprzęt stacjonarny? I dla takich osób Apple ma odpowiedź - komputer iMac, będący centrum pracy oraz rozrywki. Zastosowany w nim, jak i w modelach MacBook, wyświetlacz Retina, zachwyca detalami i pozwala na zupełnie nowy odbiór oglądanych rzeczy – od zdjęć aż po filmy w jakości 4K.

Wszystkie te modele możesz kupić w sieci salonów iSpot. Dodatkowo możesz skorzystać z wakacyjnej promocji - przy zakupie dowolnego komputera Mac otrzymasz jeden prezent do wyboru: głośnik JBL Clip 2, zewnętrzny dysk LaCie o pojemności 1TB, plecak Tucano, czyścik WHOOSH lub Hardcase Aiino Glossy Case dla MacBooka Pro.



Produkty Apple są intuicyjne w użytkowaniu i konfiguracji, ale jeżeli ktoś potrzebuje fachowej rady i pomocy, może zwrócić się do pracowników iSpot – mailowo, telefonicznie lub osobiście w jednym z salonów. Eksperti iSpot zapewniają profesjonalne wsparcie przed i posprzedazowe, dzięki któremu można cieszyć się wyjątkowym komputerem Mac – nie tylko w lecie, ale i na lata.

iSpot



Będziemy nieznosni



Jerzy Baczyński

Na szczęście piłka nas chyba jeszcze łączy – na dobre, na złe i też na średnie, bo ciężko doświadczony polski kibic przyjmie zapewne każde mundialowe zrządzenie losu. Obserwujemy z jakąś satysfakcją, że politykom trudniej niż kiedyś przychodzi grać piłką. Zresztą sami piłkarze, grający w światowych, profesjonalnych ligach – a więc całkowicie niezależni od polskich polityków – stanowią tu barierę nie do przejścia. Więc we wzajemnych relacjach granica patriotycznej poprawności i kurtuazji raczej nie zostanie przekroczona (szerzej o związkach polskiej piłki z polityką piszemy na s. 16). Zresztą, jeśli chodzi o umizgi wobec sportowców, a zwłaszcza piłkarzy, obecna władza jest wyjątkowo mało wiarygodna: nie ma sposobu, żeby wmówić społeczeństwu, że prezes Kaczyński interesuje się meczami, a pisowskie elity „haratają w gałę”. Piarowcy władzy będą pewnie wykonywać różne zabiegi, aby skojarzyć (ewentualny) sukces futbolistów z „dobrą energią dobrej zmiany”, ale ponieważ wiele się tu ugrać nie da, mundial raczej nie będzie rozgrywany na naszym krajowym politycznym boisku. To by była miła odmiana, bo przynajmniej przez jakiś czas lepszy i gorszy sort Polaków może się mieszać, występować wspólnie, używać wedle woli biało-czerwonych emblematów. Bo że, generalnie, nie jesteśmy już jednym narodem, przekonuje intensywna kampania polityczna, od kilku tygodni prowadzona przez obóz władzy pod orwellowskim hasłem „Polska jest jedna”.

Najnowszą odsłonę kampanii mogliśmy obserwować podczas kongresu Klubów Gazety Polskiej w Spale, w którym uczestniczyła osobiście cała czołówka polityków PiS, a prezes partii listownie. Przekaz był mniej więcej taki: „my” spełniamy marzenia o lepszej Polsce, „walczymy o dobre imię Polaków, honor przodków, prawdę historyczną” (Morawiecki), „wchodzimy w kolejną fazę dobrej zmiany” (Kaczyński), a tymczasem im większe są nasze dokonania, tym silniejszy opór opozycji (Szydło), „jesteśmy atakowani z każdej strony” (Morawiecki), w tym przez wrogi nam ośrodek zagraniczny „proszony o pomoc przez polskie kompradorskie elity”. Ostatni cytat nietrudno przypisać Jarosławowi Kaczyńskiemu, bo tylko on ma patent na zaskakujące językowe eksperymenty, sięganie po archaizmy czy, jak w tym przypadku, terminologię socjologii marksistowskiej, która mianem „burżuazji kompradorskiej” określała lokalne elity współpracujące z kolonizatorami. To słowo nie było dotychczas w obiegu politycznym i pewnie, mimo swoistego wdzięku, trudno będzie je upowszechnić, ale sens ma klarowny: kolonizatorzy to – jak zawsze – Zachód, bo ktoś by inny, a opozycyjne „elity” są po prostu

agenturą obcego kapitału. Tak to sobie opowiadano na zlocie działaczy rządzącej formacji. Wnioski zasugerował premier Morawiecki, podkreślając, że Polakom w drodze do spełnienia marzeń muszą przewodzić „prawdziwe propaństwowe elity” (w odróżnieniu od nieprawdziwych, które rządziły w III RP), prezes Kaczyński prosił zaś o niezłomne poparcie dla polskiej Zjednoczonej Prawicy.

Retoryka „kompradorska” będzie używana teraz szczególnie intensywnie, bo obóz władzy musi jakoś tłumaczyć, dlaczego Unia Europejska wciąż oskarża rząd PiS o naruszanie zasad praworządności. Nadzieje na to, że „dialog” z Unią doprowadzi do „kompromisu”, okazały się zawodne: w Parlamencie Europejskim odbyła się jednak debata, podczas której największe kluby poselskie wezwały Komisję Europejską, aby zaskarżyła Polskę do Trybunału Sprawiedliwości UE w związku z ustawą, która od 3 lipca pozwoli przeprowadzić w Sądzie Najwyższym czystkę personalną. Wyznaczono też termin (26 czerwca) oficjalnego wysłuchania (a właściwie przesłuchania) rządu polskiego przez Radę UE; wreszcie do Warszawy wybrał się sam Frans Timmermans, reprezentujący Komisję w tzw. sporze z Polską, i – jak się wydaje – wyjechał z niczym, to znaczy bez wiążącej deklaracji, że prezes zatrzyma proces przemawiania Sądu Najwyższego. Zatem będzie konfrontacja.

PiS ma już chyba nawet gotową taktykę: Timmermans będzie, już jest, oskarżany o najprymitywniejsze osobiste i ambicjonalne motywy „atakowania Polski”, KE o reprezentowanie gospodarczych i politycznych interesów Niemiec, kompradorska opozycja o zdradę, a rząd zastosuje wobec unijnych instytucji retorsje, które prominentny poseł PiS określił jako „będziemy nieznosni”. Rząd będzie więc opóźniał decyzje unijne, wetował, sabotował, spróbuje też „zająć się” inwestycjami holenderskimi w Polsce (znów chodzi o Timmermansa). Zadnego ustępstwa: Rada UE ma usłyszeć, że Polska może „reformować sądownictwo” jak chce i nikomu nic do tego. Jarosław Kaczyński, wyszedł ze szpitala wyraźnie rozdrażniony i prawdopodobnie postanowił ukrócić defetyzm, zdyscyplinować rozłażące się szeregi, a nic lepiej się do tego nie nadaje niż kolejne wojny (słychać, że może też „zabrać się za media”).

Strategia „będziemy nieznosni” jest chyba tym, co najlepiej odpowiada temperamentowi i usposobieniu prezesa Kaczyńskiego. Ma długą historię i dużą przyszłość. Dramatyczne zmiany w światowej polityce (analizujemy je na s. 12) wymagałyby od kraju o potencjale Polski umiejętności zawierania sojuszy, kompromisów, forsowania swojego punktu widzenia, mówiąc po piłkarzku: trochę dryblingu, dużo podań, gry zespołowej, ale też wykorzystania indywidualnych umiejętności zawodników. Mecz piłkarski według kapitana Kaczyńskiego musiałby wyglądać tak: faulujemy, udając, że to nam robią krzywdę, nie przestrzegamy reguł albo upieramy się, że nasze są lepsze, próbujemy zastraszyć albo skorumpować sędziego, a jak się komuś nie podoba i nie chcą z nami grać, to stajemy się nieznosni. Takich podwórkowych kapitanów jak Kaczyński ma dziś więcej państw, a następni rwą się do gry. Mundial polityczny robi się coraz bardziej brutalny, chaotyczny, brzydki. Dobrze, że chociaż można odetchnąć przy piłce, gdzie wciąż narody rywalizują według czytelnych i sprawiedliwych reguł, a na końcu można pójść wspólnie na piwo.

Jan Koza



© JAN KOZA

Straszą duchy Macierewicza

Były szef MON zredagował komunikat skandalizujący byłych oficerów służb i nakazał ówczesnej rzecznicze jego publikację – wynika z uzasadnienia wyroku sądu, który skazał ją za zniesławienie. POLITYKA dotarła do tego dokumentu.

Komunikat zawierał tylko trzy zdania, za to sporą dawkę insynuacji. „Ministerstwo Obrony Narodowej zwraca uwagę, że coraz częściej pod pozorem dyskusji naukowej wypowiadają się byli funkcjonariusze służb odpowiedzialni za katastrofalny stan polskiego bezpieczeństwa, tolerowanie środowisk mafijnych wyrosłych ze Służby Bezpieczeństwa, inwigilację niepodległościowych partii politycznych, a nawet przestępczą działalność na rzecz obcych służb. Smutnym przykładem takiego działania była dyskusja zorganizowana 24 listopada 2016 roku w Collegium Civitas, w której wzięli udział byli funkcjonariusze podejrzewani o współpracę ze służbami wrogimi Polsce i NATO. Przestrzegamy polską opinię naukową i opinię publiczną przed dezinformacyjnymi konsekwencjami propagowania takich działań”.

Podpisała się pod nim Katarzyna Szymańska-Jakubowska, po odsunięciu we wrześniu 2016 r. Bartłomieja Misiewicza, pełniąca obowiązki rzecznika MON. Rzecz dotyczyła debaty o stanie polskich służb specjalnych, w której wzięli udział ich byli szefowie: Krzysztof Bondaryk (szef ABW w latach 2008–13), gen. Janusz Nosek (szef SKW w latach 2008–13), Paweł Białek

(wiceszef ABW w latach 2007–12) oraz Piotr Niemczyk (wiceszef szef zarządu wywiadu UOP w latach 90.).

Choć w komunikacie nie padły żadne nazwiska, cała czwórka uznała, że był skierowany pod ich adresem. Dlatego oficerowie pozwali Szymańską-Jakubowską. Pod koniec marca tego roku Sąd Rejonowy w Warszawie przyznał im rację – była współpracowniczką Macierewicza, pomagającą byłym oficerów m.in. o działalność na rzecz obcych służb, zniesławiała ich. W nieprawomocnym wyroku została skazana na grzywnę w wysokości 2 tys. zł (sąd uwzględnił jej sytuację materialną – jest dziś bezrobotna). Nakazał również publikację wyroku na stronie MON. Według sądu urzędniczka wykorzystała autorytet MON do „poniżenia pomówionych”, a jej celem było „pozbawienie godności osobistej pomówionych i spowodowanie swoistej śmierci cywilnej”.

Za wszystkim stał jednak Antoni Macierewicz. W sporządzonym niedawno pisemnym uzasadnieniu wyroku sąd stwierdził, że „treść komunikatu w całości zredagował minister”, który następnie „poleciał oskarżonej podanie go do publicznej wiadomości poprzez opublikowanie na stronie internetowej”. Co więcej, sąd zasugerował, że choć Macierewicz wyręczył i niejako ukrył się za rzeczniczką, można rozważyć jego „ewentualną odpowiedzialność karną (...) jako sprawcy polecającego”.

Z uzasadnienia wyroku wynika jeszcze coś innego. Okazuje się, że rząd PiS narusza prawo prasowe. A konkretnie wydane w 2002 r. rozporządzenie Rady

Ministrów, które mówi, że „zadania z zakresu polityki informacyjnej Rządu dotyczące działań należących do właściwości danego ministra lub wojewody wykonuje odpowiednio rzecznik prasowy ministra i rzecznik prasowy wojewody”. Tymczasem MON po raz pierwszy od wielu lat nie ma rzecznika ani szefa biura prasowego. Ostatnia odeszła wraz z Macierewiczem. Zresztą płk Anna Pęziół-Wójtowicz, czyli następczyni Szymańskiej-Jakubowskiej, również ma proces o pomówienie (także byłego oficera służb). – *Po tym wszystkim, co się stało za Macierewicza, nikt nie chciał nadstawić głowy jako rzecznik* – twierdzi nasz rozmówca znający kulisy pracy MON.

Resort Mariusza Błaszczaka nie jest jednak jedynym „bezzrecznikowym” w rządzie PiS. Na 19 ministerstw aż dziewięć, czyli prawie połowa, nie ma rzeczników, w tym tak kluczowe dla państwa jak MSWiA (czyli poprzednie ministerstwo kierowane przez Błaszczaka) oraz MSZ. Są tylko wydziały lub biura prasowe, które, rozsyłając dziennikarzom komunikaty i odpowiedzi na pytania, nie podpisują ich imiennie. Pracownicy biur nie przedstawiają się także podczas rozmów telefonicznych. – *Nie praktykujemy tego* – przyznał z rozbijającą szczerością „kontakt wyłącznie dla dziennikarzy”, do którego kieruje strona internetowa MON. Jak stwierdził, „nie ma uprawnień do tego, by wypowiadać się w imieniu resortu”. Dlaczego więc ministerstwo nie ma rzecznika? – *Tak postanowiono. Nie został wybrany* – słyszymy. (GR)

Kosmiczny jedynek

Komplet pamiątek po pierwszym locie Polaka w kosmos cztery lata temu został wypożyczony na wystawę czasową do Sieradza z umową na rok. Okazuje się, że **kapsuła lądowniczej** statku Sojuz 30 łatwiej było wrócić z kosmosu niż z Sieradza. Muzeum Wojska Polskiego robi, co może, żeby nie odebrać swoich cennych eksponatów. – *Nasze muzeum co roku przedtulało umowę użyczenia. Obecna obowiązuje do końca 2018 r. Ale kolejnych już nie będzie, ponieważ wydaje się nam, że wszyscy chętni już z pewnością odwiedzili wystawę* – mówi Piotr Gutbier, dyrektor Muzeum Okręgowego w Sieradzu.

W ten sposób Muzeum Wojska Polskiego ma pretekst, żeby nie świętować 40. rocznicy lotu Polaka w kosmos 5 lipca 1978 r. Sprawa jest polityczna. Nie dość, że lot był organizowany przez Związek Radziecki, to generał Mirosław Hermaszewski został później jednym z członków Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, która wprowadziła stan wojenny w Polsce.

Generał Hermaszewski, który nazywa siebie kosmicznym jedynekami, o całej sytuacji mówi nie bez goryczy. – *Skoro to taki wstydliwy eksponat, to ja bardzo chętnie go przyjmę. Tym bardziej że wśród pamiątek jest lalka, którą dostаем od córki na czas lotu* – mówi generał Hermaszewski. Na wystawie w Sieradzu oglądać można nie tylko kapsułę lądowniczą i lalkę kosmonauty, ale również jego skafander i serię puszek po konserwach mięsnych, którymi żywili się kosmonauci w czasie trwającego prawie osiem dni lotu. JULL



© GRZEGORZ GAJEWSKI/LANY STOCK PHOTO



Maszynka prezesa

Parlament to kolejna instytucja w Polsce, która za sprawą PiS stała się fasadowa. I kolejna porażka naszej demokracji.

Głosami parlamentarnej większości Sejm uchwalił kolejną nowelizację ustawy o wykonywaniu mandatu posła i senatora. Daje ona prezydium Sejmu (w praktyce marszałkowi Kuchcińskiemu) możliwość znacznego obniżania uposażeń parlamentarzystom za niestosowne zachowania poza Sejmem. Jest niemal pewne, że ten zapis ustawy nie pozostanie martwy i będzie wykorzystywany przeciwko politykom opozycji. Tak stało się przecież po uchwaleniu pod koniec ubiegłego roku nowelizacji tej samej ustawy, wprowadzającej możliwość karania posłów za „uniemożliwienie pracy Sejmu lub jego organów”. Marszałek Kuchciński nie szczędził przecież dotkliwych kar finansowych posłom opozycji i nie ukarał żadnego posła PiS, pomimo że zachowania kilkorga z nich były i są skandaliczne.

Obie nowelizacje są elementami szerszego zjawiska, z którym mamy do czynienia od czasu przejścia władzy w kraju przez ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego – przekształcania parlamentu w instytucję fasadową. Temu celowi służyło błyskawiczne uchwalanie ustaw ważnych dla władzy z naruszeniem procedur, obyczajów parlamentarnych i – co najważniejsze – konstytucji, gdy stawała ona na drodze ustrojowym zamysłom szefa rządzącej partii.

Fortyfikowanie parlamentu i radykalne ograniczanie wstępu do niego obywatelom, w szczególności podejrzanym o niechęć do obecnej władzy, to kolejny element „wygaszania” parlamentu, jako miejsca debaty i instytucji, która pulsuje życiem.

Oczywiście Jarosławowi Kaczyńskiemu parlament jest potrzebny, a nawet niezbędny, ale właśnie jako instytucja fasadowa, legitymizująca jego władzę, jako „maszynka do głosowania” i miejsce, w którym od czasu do czasu może wygarnąć opozycji, co o niej myśli. A także systematycznie pokazywać jej bezsilność.

Fasadowy Sejm nie potrzebuje marszałka, który ma osobowość, cieszy się autorytetem i potrafi zdobywać szacunek opozycji. W takim Sejmie najważniejszą kwalifikacją do zajmowania tego stanowiska jest bezwzględna lojalność wobec partyjnej centrali i wykonywanie jej poleceń, także tych, które powinny wywoływać rumieniec wstydu. Marszałek Marek Kuchciński w pełni spełnia te kryteria. Jest wykonawcą poleceń Jarosława Kaczyńskiego i zapewne zadowala się sytuacją, w której to on za niego myśli i decyduje.

W ustroju opisanym we wciąż formalnie obowiązującej w Polsce konstytucji parlament odgrywa wielką rolę. Sprowadzenie go do roli instytucji fasadowej jest więc wielką porażką naszej demokracji, ale wpisuje się w proces rozwijający się od późnej jesieni 2015 r. Polega on na skupianiu coraz większej władzy w jednym ośrodku, którego istnienia nie przewiduje nasza konstytucja. Proces ten nie mógłby zająć tak daleko, gdyby konstytucja była przestrzegana przez obóz rządzący, a także gdyby osoby powołane na najwyższe stanowiska państwowe – a w szczególności prezydent, kolejni dwaj premierzy, marszałkowie Sejmu i Senatu – stali na straży swych konstytucyjnych uprawnień. Stało się jednak inaczej.

Państwowi dygnitarze faktycznie sędowali swoje uprawnienia i władzę na rzecz prezesa partii, który co prawda odegrał kluczową rolę w wyniesieniu ich na urząd, ale nie zamierzał

oddać im realnej władzy, nadal traktując ich jako osoby podlegające mu w partyjnej hierarchii.

Grozi nam, że nie tylko będziemy mieli fasadowy parlament, ale całe nasze państwo stanie się fasadową demokracją. Jak wyglądają instytucje w takim państwie, dobrze pokazuje obecny status Trybunału Konstytucyjnego. Z instytucji o wielkich kompetencjach, budzącej respekt polityków i szacunek kręgów opiniotwórczych, został zamieniony w narzędzie władzy politycznej, która nawet niespecjalnie stara się to skrywać. Zaciekły i konsekwentnie prowadzony przez ugrupowanie rządzące atak na niezależność władzy sądowniczej i niezawisłość sędziów dowodzi, jak wielkie znaczenie władza PiS przywiązuje do podporządkowania sobie sędziów. Za przeprowadzenie tej operacji gotowi są płacić wysoką cenę na arenie międzynarodowej, w szczególności w Unii Europejskiej. Krajowa Rada Sądownictwa, w myśl konstytucji stojąca na straży niezależności sądów i niezależności sędziów, już została zamieniona w instytucję fasadową. W kolejce czeka Sąd Najwyższy.

Niektórzy komentatorzy krytycznie oceniający rządy PiS, a nawet przyznający, że Polska nie jest już liberalną demokracją, wyrażają jednak niezachwiane przekonanie, że pomimo wszystko demokracja w naszym kraju nie jest zagrożona. Z dwóch powodów: po pierwsze, Polacy okazali się może niezbyt przywiązani do trójpodziału władzy i skłonni są akceptować poszerzenie władzy przez ugrupowanie, które wygrało wybory, poza ramy wyznaczone w konstytucji, ale wolne wybory uznają za fundament demokracji i nie dadzą ich sobie odebrać. Po drugie zaś, Jarosław Kaczyński zmienia ustrój państwa, ale szanuje wolę „suwerena” wyrażaną w demokratycznych wyborach.

Wcale nie mam tej pewności. Już dziś reguły rywalizacji politycznej nie są równe dla wszystkich. Działania krytyków władzy spotykają się z szykanami ze strony aparatu państwowego, media publiczne stały się tubami propagandowymi obozu rządzącego. Ludzie sprawujący władzę w naszym kraju dysponują też wielkimi możliwościami wykorzystywania służb specjalnych i prokuratury do utrudniania życia, a nawet eliminowania politycznej konkurencji. W jakim stopniu z nich skorzystają, przekonamy się w kampanii samorządowej.

Trudno wyobrazić sobie fałszerstwo wyborcze w wyborach parlamentarnych w sytuacji, gdyby opozycja bardzo zdecydowanie wygrała wybory, ale bez trudu można je sobie wyobrazić, gdy wyniki wyborcze obozu władzy i opozycji będą wyrównane. Determinacja PiS w dążeniu do opanowania Sądu Najwyższego, który stwierdza

ważność wyborów do Sejmu i Senatu oraz wyborów prezydenckich, daje powody do podejrzeń i obaw o uczciwość wyborów, tym bardziej że ich stawka będzie bardzo wysoka dla ludzi, którzy wielokrotnie złamałi konstytucję.

Nie twierdzą, że Jarosław Kaczyński zamierza sfałszować wybory, ale jako obywatel chciałbym mieć mocniejsze i konstytucyjne gwarancje – niż ewentualna jego dobra wola – że tak się stać nie może. Demokracja fasadowa w Polsce to nie ponura wizja przyszłości, ale w dużej mierze już nasza rzeczywistość.



KOMENTARZ

Ociosywanie
GowinaEdwin
Bendyk

Reforma Jarosława Gowina, czyli ustawa zmieniająca system nauki i szkolnictwa wyższego, napotkała na ostatniej prostej niespodziewany opór. Zaplanowane na piątek 15 czerwca głosowanie w Sejmie zostało przełożone na kolejne, lipcowe, posiedzenie izby. Powód oficjalny – włączenie do nowego aktu prawnego wszystkich poprawek i autopoprawek wymaga czasu. W istocie jednak dobry czas dla tzw. ustawy 2.0 minął, a najbliższych dni obóz władzy potrzebuje, żeby dokonać politycznego remanentu: czy warto forsować flagowy projekt Jarosława Gowina, czy posłuchać niechętniej, całkiem licznej frakcji polityków PiS?

Czas przyda się także, by strajkujący studenci rozjechali się na wakacje i by ocenić, jakie naprawdę było znaczenie akcji protestacyjnej podjętej na Uniwersytecie Warszawskim i w innych ośrodkach. Bo choć niewiele osób zaangażowało się w nią bezpośrednio, to jednak ich działanie spotkało się z życzliwością i poparciem wielu środowisk, również poza światem akademickim. Tym samym dyskusja o reformie wymknęła się spod kontroli Jarosława Gowina, który starannie budował wizerunek sojuszu z uczonymi na rzecz Konstytucji dla Nauki oraz szerokiego poparcia dla koniecznych zmian. Projekt tych zmian podzielił akademików na różne grupy interesów. Obok zwolenników zmobilizowali się ci, którzy albo poczuli zagrożenie dla status quo, albo dostrzegli możliwość wynegocjowania korzystnych dla siebie ustępstw. Co gorsza (dla Jarosława Gowina), studencki strajk uspołecznił temat reformy, przyciągając uwagę mediów, których zazwyczaj tematyka polityki naukowej państwa nie interesuje.

Protestujący przeciwstawili niezwykle złożonemu, napisanemu technokratycznym językiem, tekstowi ustawy zbiór 11 haseł, w większości o zawsze słusznym wydźwięku. Bo kto by przeciwstawiał się samorządności, autonomii i demokratyzacji uczelni; ochronie praw społecznych i pracowniczych; brakowi bezpośredniej politycznej kontroli? Przekonywanie, że ustawa tym wartościom nie zagraża lub jaki jest rzeczywisty cel konkretnych przepisów, spycha siłą rzeczy obrońców zmian do defensywy.

Przyszłość ustawy Jarosława Gowina oraz przyszłość nauki i szkolnictwa wyższego w najbliższym czasie zależy od jednej osoby – Jarosława Kaczyńskiego. Najgorszy scenariusz to uchwalenie aktu prawnego, który po dziesiątkach poprawek przekształca się w legislacyjny potworka niezadowolającego nikogo oprócz tych, którzy lubią i umieją pływać w mętnej wodzie. W tej sytuacji znaczenia nabiera pytanie, czym w rzeczywistości był protest studentów i części środowisk akademickich? Iskierką inicjującą poczucie podmiotowości młodych ludzi wokół nowego pomysłu na zbiorowe zaangażowanie w sprawy publiczne? Czy tylko jednorazowym wybuchem, o którym mało kto po wakacjach będzie pamiętał?

Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r. - Polski pilot - Bilety wstępów w cenie

HISZPANIA 8 dni



- Hotel: 4* (7 nocy)
- Wyżywienie: 2 posiłki dziennie

Wylot 26/11 2018

Andaluzja od 3 898 zł
Ole!

Program wycieczki: **Dzień 1.** Wylot z Warszawy do Malagi, transfer do hotelu. Spacer po mieście. **Dzień 2.** Wycieczka do nadmorskiego miasta Nerja, jaskini oraz białego miasteczka - Frigiliana. **Dzień 3.** Wycieczka do Malagi. Zwiedzanie, tapas, degustacja wina i czas wolny. **Dzień 4.** Dzień do własnej dyspozycji. **Dzień 5.** Wycieczka do Rondy – spektakularnie położone górskiego miasteczka. **Dzień 6.** Wycieczka do Sewilli - zwiedzanie, spacer po historycznej dzielnicy miasta i czas wolny. **Dzień 7.** Czas wolny. Wycieczka do Cordoby (dodatkowo płatna). **Dzień 8.** Wylot z Malagi do Warszawy.

USA 10 dni



- Hotel: 3* (8 nocy)
- Wyżywienie: śniadania

Wylot 22/09 2019

USA od 9 998 zł
Wschodnie wybrzeże

Program wycieczki: **Dzień 1.** Przyjazd na trasie Warszawa – Waszyngton, USA. **Dzień 2.** Waszyngton, D.C. Wycieczka rowerem po mieście, a na trasie Cmentarz Narodowy Arlington, National Mall i Air & Space Museum. **Dzień 3.** Washington, D.C. – Gettysburg – Lancaster – Williamsport. **Dzień 4.** Williamsport – Niagara Falls, USA. Rejs statkiem po kanadyjskiej stronie wodospadów. **Dzień 5.** Niagara Falls – stany Nowy Jork i Massachusetts. **Dzień 6.** Natick – Boston – Plymouth na wybrzeżu Nowej Anglii. **Dzień 7.** Plymouth – Newport – Yale – Nowy Jork. **Dzień 8.** Nowy Jork. Objazd, 9/11 Memorial i czas wolny. **Dzień 9.** Nowy Jork. **Dzień 10.** Przyjazd do Warszawy.

Cena zawiera: opiekę polskiego pilota, przelot rejsowy z Warszawy, zakwaterowanie w pokojach 2 os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe oraz bilety wstępów.

Rezerwacja +48 22 128 48 81
Adres: Warszawa
ul. Marszałkowska 74
www.albatros.pl

Kod reklamy: PL19





Severna Makedonija – czy to przejdzie?

© EPA/PAP

Spór z Grecją, czy Macedonia może się nazywać Macedonia, trwa od blisko 30 lat. Wreszcie rysuje się jakiś kompromis.

Według opisu wysłannika BBC wyglądało to na uroczystość ślubną: wielki biały namiot na brzegu malowniczego jeziora Prespa, gdzie zgromadziło się radosne grono gości, a jedno z obłubieńców zmieniło właśnie nazwisko. Z Macedonia na Macedonia Północna. Tak, dzięki porozumieniu obu premierów, Aleksisa Tsiprasa i Zorana Zaewa, domykał się trwający od blisko trzech dekad spór o nazwę Byłej Jugosłowiańskiej Republiki Macedonii, pod jaką występowała oficjalnie w ONZ. Grecy – i w sumie chyba tylko oni – kontestowali Macedonię, widząc w tym zadatek żądań terytorialnych sąsiada. Lokalny konflikt rozkręcił po obu stronach wielkie pokłady nacjonalizmu. Dla Grecji, upokorzonej kryzysem i dyktatem europejskich wierzyteli, sprawa nazwy sąsiada była jedyną, gdzie mogli mieć własne zdanie i moc blokowania Macedonii w aspiracjach do NATO i UE. Dla młodej Macedonii „wielkogreckość” budowała nową

świadomość. Kiedy któryś rządowy polityk wyciągał nieśmiało rękę do zgody, opozycja i ulica – wielotysięcznymi manifestacjami – przywoływały go do porządku.

Teraz osiągnięto kruchy kompromis: Macedonia będzie Północną, obok greckiej prowincji o tej samej nazwie, co zapisze w konstytucji, a wcześniej trochę odpuściła sobie antyczną megalomanię irytującą Greków. Ale zanim wysechł atrament na porozumieniu, premier Tsipras już zdążył zaliczyć w parlamencie wotum nieufności (przetrwiał), a prezydent Macedonii Gjorge Iwanow zapowiedział, że nie zaakceptuje porozumienia. To weto jednak może obalić parlament. Ale wcześniej będzie w Macedonii referendum, bo trzeba zmienić konstytucję. Zaś dopiero na końcu wypowie się grecki parlament.

Nie będzie więc łatwo, ale warto trzymać kciuki, zawsze to byłby jeden konflikt mniej, nawet jeśli dosyć absurdalny. Korespondencja z Macedonii – s. 51.

Chwała pod młotek

Gdzie się podziela lewica francuska? Rządząca do ub. roku Francją Partia Socjalistyczna znalazła się w tak trudnej sytuacji finansowej, że musiała sprzedać swą paryską siedzibę przy rue de Solferino w pobliżu muzeum d'Orsay. Za 45 mln euro nabył ją przedsiębiorca, który choć planuje gruntowną przeróbkę, to obiecał zachować „ścianę chwały”, to jest miejsce, gdzie wiszą portrety dawnych przywódców partii: François Mitterranda, François Hollande'a, premierów Lionela Jospina i Michela

Rocarda. Katastrofę finansową spowodował wynik wyborczy – kandydat PS w ostatnich wyborach prezydenckich uzyskał zaledwie 6 proc. głosów. Wyborcy socjalistyczni poparli przede wszystkim prezydenta Emmanuela Macrona, któremu dziś, po roku od wyborów, otwarcie zarzucają odejście od lewicowej polityki. Nowo wybrany pierwszy sekretarz PS, mało znany działacz Olivier Faure szuka tańszej siedziby na przedmieściach, co nie wszystkim się podoba. Faure odmłodził kierownictwo partii, lecz walczy ze starszymi konkurentami. Niektórzy z nich zachowują się tak, jakbyśmy zdobyli 52 proc. głosów, a nie tylko 6 proc. – mówi.

Doktryna condo

Niekonwencjonalne podejście prezydenta USA Donalda Trumpa do Korei Płn. doczekało się swojej nazwy. Na szczycie w Singapurze Trump zademonstrował Kim Dzong Unowi, ile północnokoreański satrapa traci, izolując się od świata i strasząc otoczenie wojną jądrową. Trump namawia Kima, by zamiast rzucać groźby, ścigał kapitał i turystów, a wzdłuż plaż budował osiedla z mieszkaniami na sprzedaż (ang. condo). Podczas spotkania doktrynę condo zaprezentowano w kilkuminutowym filmie, utrzymanym w poetyce wielkiej hollywoodzkiej produkcji. Trump i Kim to dwaj superbohaterowie, którzy po połączeniu swoich mocy zapewniają pokój światowy i dobrobyt w Korei Płn.

Taką politykę można uprawiać w przedszkolu, komentuje południowokoreański dziennik „Chosun Ilbo”, konserwatywny i pozostający w opozycji do pomysłów zbliżenia z Północą. Konserwatyści z Południa, a podobne odczucia towarzyszą wielu ekspertom obserwującym sprawy koreańskie, twierdzą, że Trump sprzedał za tanio. W zamian za mgliste zapewnienia wstrzymania prób jądrowych i raketowych, rozbiórki jakiejś części poligonów i wypuszczenie kilku uwięzionych obywateli amerykańskich uściśniętą Kimowi dłoń, czym zdjął z niego piętno renegata. Na Twitterze ogłosił, że reżim „nie stanowi już zagrożenia jądrowego”, co otwiera drogę do demontażu systemu międzynarodowych sankcji. Totalitarne porządki bagatelizował. Dorzucił obietnicę zakończenia cyklicznych ćwiczeń wojsk USA i Korei Płd., uznał je za prowokacyjne i zbyt kosztowne.

Wiadomo, że proces ewentualnego rozbrojenia Korei potrwa lata, więc są rachuby, że w długiej perspektywie ukryta jest w tak nieszablonowym podejściu pewna logika. Od dekad Koreę bezskutecznie próbuje się zastraszyć lub przekupić, reżim i tak zdołał się uzbroić, a nie jest to dobry adres do przechowywania broni masowego rażenia. Jednocześnie Kim myśli o modernizacji gospodarki, co mogłoby wreszcie ulżyć niedoli obywateli, innego sposobu na ich ratowanie jeszcze nie znaleziono.

Skoro jest interes, to ile można stracić? Raz, że Kim dostał okazję, by pochować broń i się przyczaić. Po drugie, na szczycie Trump wypadł niezłe w rolach, w których czuje się najswobodniej: celebryty i deweloper. Gorzej poszło z funkcją odpowiedzialnego przywódcy. Manewry skasował (suflowali to m.in. Chińczycy, tworzący strefę wpływów w Azji) prawdopodobnie pod wpływem chwili i bez konsultacji z sojusznikami z Seulu. Tak impulsywne działanie ponownie zmusza wszystkich sprzymierzonych z Ameryką, by ocenić, ile warte są jej gwarancje.

O kłopotcie Europy z Trumpem piszemy na s. 12.



© AP/EP/NEWS

Antyrządowy protest w Masaji. Jeden z demonstrantów pozuje z domowej roboty granatnikiem.

Ortega, zmęczenie materiału

Kroniki odnotują pewnie jako początek końca Daniela Ortegi datę 18 kwietnia tego roku i drobną studencką manifestację przeciwko zmianom w ustawie emerytalnej. Została krwawo stłumiona przez zamaskowanych bojówkarzy. Co błyskawicznie rozeszło się w mediach społecznościowych, budząc oburzenie i mobilizując do kolejnych protestów. Tak rozkręciła się spirala buntu, dziś obejmująca całą Nikaraguę, łącząca we wspólnej koalicji wiele środowisk: akademickich, biznesowych, chłopów i episkopat. Ma swoich błyskawicznie wyłonionych liderów: jak 22-letnia studentka Valeska Valle. Swoje barwy: narodowe, biało-niebieskie, w przeciwieństwie do czerwono-czarnych kolorów sandinistów.

W odpowiedzi rozkręcała się spirala terroru: *grupos de choque*, oddziały do rozbijania manifestacji, bojówki młodych sandinistów i specsłużb, strzelające do pokojowo nastawionych manifestantów. Tak został potraktowany pochód matek zastrzelonych studentów, 30 maja w Managui; zginęło 15 kobiet. W sumie jest już ponad 160 śmiertelnych ofiar i 1200 rannych oraz jednoznaczne oceny organizacji broniących praw człowieka.

Marksystowcy sandiniści obalili pod koniec lat 70. krwawą i kleptomanią dyktaturę klanu Somozów; Ortega był w partyzantce,

torturowany w więzieniu, w 1985 r. po raz pierwszy został prezydentem – i jako promoskiewski lewak, osobistym wrogiem Ronaldą Reagana, który nie szczędził środków, żeby to udowodnić. Umiał ustąpić z urzędu, kiedy przegrał wybory. Wygrał je ponownie po latach, w 2007 r., już jako postzimnowojenny Ortega 2.0. W koalicji z Kościołem, któremu ofiarował bezwzględny zakaz aborcji, i biznesem, któremu obniżył podatki i dał dobrze zarabiać. Szło mu nieźle, bo obok Haiti Nikaragua to najbiedniejszy kraj regionu i każda inwestycja socjalna przynosi tu szybki skutek. Był popularny, ale z czasem popadał w to, co wszyscy: nieskrępowaną korupcję, autokratyzm ocierający się o dyktaturę. Kiedy podczas ostatnich wyborów wskazał na wiceprezydenta swoją żonę, wpływową Rosario Murillo, widać było, że kombinuje, jak się nie dać odspawać od władzy.

Teraz, według przecieków, Ortega zaproponował wysłannikom USA, że rozpisce przyspieszone wybory, ale koalicja oporu bezwzględnie domaga się jego dymisji. I rozliczeń. To może jeszcze trwać, ropieć, jątrzyć się, przerodzić w wojnę domową. Ortega ma po swojej stronie siły bezpieczeństwa, ma wiernych sandinistów, gotowych na wszystko. Za to wojsko stara się zachować coraz większą neutralność. Jak zwykle – do czasu.

„Błuźnierczy” paragraf do usunięcia

Irlancki rząd premiera Leo Varadkara idzie za ciosem. Po wygranym majowym referendum torującym drogę do legalizacji aborcji zapowiada kolejne. Tym razem nad usunięciem z konstytucji paragrafu grożącego karą za publikacje i wypowiedzi zawierające treści bluźniercze, wywrotowe lub nieprzyzwoite. Minister sprawiedliwości Charlie Flanagan ogłosił, że jego resort przygotowuje stosowny projekt ustawy. Jeśli parlament go przyjmie, głosowanie powszechne może się odbyć już w październiku. Zdaniem ministra usunięcie paragrafu będzie sygnałem dla świata, że pojęcie „bluźnierstwa” nie mieści się w wartościach irlandzkich, a Irlandia uważa, że nie powinno figurować ono w jej systemie prawnym. „Błuźnierczy” artykuł jest częścią ustawy zasadniczej przyjętej w 1937 r. Przenikał ją duch katolicyzmu. Zaczyna się od inwokacji do Trójcy Przenajświętszej; Kościołowi rzymskokatolickiemu przyznaje pozycję specjalną wśród wyznań religijnych.

Przyjęta w 2009 r. ustawa o zniesławieniu grozi grzywną do 25 tys. euro za obrazę uczuć religijnych. W 2015 r. wszczęto śledztwo z oskarżenia prywatnego o bluźnierstwo przeciwko pisarzowi i aktorowi komediowemu Stephenowi Fry’owi. Powiedział on, że nie widzi powodu, aby oddawać cześć „kapryśnemu, nikczemnemu, głupiemu bogu, który stworzył świat przepełniony niesprawiedliwością i bólem”. Ale policji nie udało się znaleźć dostatecznej liczby osób gotowych potwierdzić, że czują się tą wypowiedzią obrażone, i postępowanie umorzono.

Niewykluczone, że tematem kolejnego referendum stanie się także artykuł konstytucji promujący rolę kobiety jako opiekunki ogniska domowego, „wspierającej w ten sposób państwo”. Krytycy paragrafu zwracają uwagę, że tę rolę pełnią także mężczyźni, należy więc mówić o „osobie”, a nie „kobiecie”.

Czego nie mogą Saudyjki

W całej swej łasce i wspaniałości król Arabii Saudyjskiej już od najbliższej niedzieli zezwoli kobietom prowadzić auta. To element planu modernizacji królestwa następcy tronu księcia Mohammeda bin Salmana. To za jego wstawiennictwem Saudyjki mogą już m.in. chodzić do kina, na niektóre stadiony sportowe, a nawet bez zgody męskiego opiekuna poddawać się operacjom. O chwała ci, królu!

Ale żeby Saudyjkom się w głowach nie poprzewracało, nadal będzie obowiązywać



© REUTERS/FORUM

szereg zakazów, które czynią z nich niewolnice swoich męskich „opiekunów”. Nie mogą więc założyć sobie rachunku w banku, bo – nie daj Allahu – by się finansowo uniezależniły. Nie dostaną paszportów, bo jeszcze wszystkie uciekną. Kawa czy lunch ze znajomym – wykluczone. Tak jak wyjście za mąż czy rozwód. Nie mówiąc już o samodzielnej decyzji, w co się ubiorą.

Władcy Arabii w ostatnich tygodniach pozamykali do więzień kilkanaście aktywistek, które walczyły m.in. o prawo do prowadzenia auta. Saudyjki muszą wiedzieć, że niczego sobie nie zawdzięczają. Wszystko to łaska mężczyzn.



Polska pośrodku Atlantyku

Z wypowiedzi premiera Morawieckiego można wywnioskować, że jeśli wybuchnie wojna handlowa między Ameryką i Europą, Polska zamierza udawać wyspę. To elektryzująca opcja. Tyle że niemożliwa.

ŁUKASZ WÓJCIK

Donald Trump traktuje Europę jak żonę na utrzymaniu, którą się znudził. Bije po twarzy, wymyśla jej przy wszystkich i upokarza. A ona nic. Dawno temu zrezygnowała z kariery, jest sparaliżowana, nie wyobraża sobie rozstania, nie widzi dla siebie innej przyszłości. Pokornie więc znosi męża brutalą. Ale każda cierpliwość ma granice. Może więc nadejść dzień, kiedy wreszcie się spakuje, wyrzyczy mężowi całą swoją złość. A dzieciom oznajmi: wybierajcie – albo on, albo ja.

Po ostatnim szczycie G7 ten dzień wcale nie wydaje się taki odległy. Jeśli na początku lipca wojna handlowa między Ameryką i Europą rozpęta się na dobre, to obie strony będą zaostrzać działania i zacieśniać szeregi. Każda nielojalność może być odebrana jako wewnętrzne zagrożenie. A ci, którzy się wahają między ojcem i matką, będą musieli podjąć kilka bolesnych decyzji. „Dla takich państw jak Polska dobiega końca czas geopolitycznego komfortu” – uważa Thomas Friedman z „New York Timesa”. A prezydent Emmanuel Macron przekonuje: „Wojny handlowe szybko przeradzają się w wojny”.

Można będzie wtedy zapytać matki, dlaczego dopiero teraz? Europa potrzebuje tego związku dużo bardziej niż Ameryka. Dla niej jest on fundamentem bezpieczeństwa, bez którego nie byłoby ani 1989 r., ani Unii Europejskiej. Poza tym wspólne wartości – tu w oczywisty sposób bliżej Europie do Ameryki niż do Rosji czy Chin. Nie jest też tak, że Ameryka nie ceni sobie tego związku. Okazał się pomocny w wielu amerykańskich przedsięwzięciach, chociażby na Bliskim Wschodzie. Ale Amerykanie – w przeciwieństwie do Europejczyków – nie potrzebują tego małżeństwa, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Trump jest pierwszym powojennym prezydentem USA, dla którego zjednoczona Europa nie jest żadną wartością. Wręcz przeciwnie, jak sam mówi – widzi w niej zagrożenie większe niż w Chinach czy Rosji. Już 15 lat temu przy okazji inwazji w Iraku George Bush junior dzielił Europę na starą i nową. Przy czym wówczas był to co najwyżej zabieg retoryczny, nie słyż za tym żadne konkrety. Teraz jest inaczej.

1 Na początku czerwca zastępca sekretarza stanu ds. europejskich A. Wess Mitchell przedstawił amerykańską wizję Starego Kontynentu. Jego wykład w siedzibie konserwatywnej fundacji Heritage można by w zasadzie streścić w jednym zdaniu: geopolityka

wróciła do Europy. Mitchell, prywatnie zafascynowany powstaniem warszawskim, mówił o rosyjskim i nawet chińskim zagrożeniu dla regionu. Europie Zachodniej dostało się za brak strategicznej wizji, a konkretnie za niskie wydatki na zbrojenia oraz pobłażliwość wobec Iranu.

Zastanawiające, jak różnie te słowa Mitchella zostały odczytane po obu stronach Atlantyku. Część naszych ekspertów usłyszała pochwały dla takich krajów jak Polska. I rzeczywiście, Amerykanin mówił m.in. o większym wsparciu dla państw naszego regionu. Z kolei w USA pojawiły się głosy, że był to jednak jasny sygnał odejścia od starych sojuszków z Francją czy Niemcami i skupienia się na Europie Wschodniej. Miała tutaj zadziałać przyziemna kalkulacja: bo tam właśnie kwitną populizmy w Trumpowskim stylu. I tu prezydent USA łatwiej zyska zrozumienie (i aplauz). „Chodzi nie tylko o zaangażowanie dyplomatyczne. Trzeba zdobyć serca i umysły mieszkańców regionu, dla których pamięć o 1989 r. i wstąpieniu do NATO stały się bardzo odległe” – mówił Mitchell. I kilkakrotnie powracał do zagrożenia za strony Chin, które ponoć próbują sobie zrobić „plac zabaw” z Europy Wschodniej. Rzeczywiście, nie zająknął się o Francji, Niemczech czy Wielkiej Brytanii.

Tak właśnie Ameryka rozgrywa Europę. Dla jej mieszkańców, uwikłanych w liczne spory pomiędzy sobą, stała się kluczowym sojusznikiem w wewnętrznych grach. Prawie połowa państw europejskich, w tym oczywiście Polska, jest przekonanych, że ma „specjalne relacje” z Ameryką, i próbuje wykorzystywać je w sporach o imigrację czy o euro. Doskonale widać to właśnie w Polsce, gdzie Ameryka już dawno ma niewiele wspólnego z rzeczywistością, a stała się mitem służącym w krajowych połażankach. Ta „polska Ameryka” jest u nas fundamentem budowania różnorodnych strategii bezpieczeństwa. Często takich, o których sami Amerykanie nie mają pojęcia. Wiedzą natomiast, jak te różnice rozgrywać.

2 Ilustracją tej amerykańskiej strategii są zabiegi wokół umowy nuklearnej z Iranem. W połowie maja Trump wycofał z niej Amerykę, co stawia pod znakiem zapytania cały sens porozumienia. Dla przypomnienia, w umowie z 2015 r. Iran obiecał, że nie będzie wzbogacać uranu do poziomu bombowego w zamian za zniesienie sankcji i otwarcie handlowe na świat. Umowy – jak się wydaje – dotrzymał, ale według Trumpa była ona za wąska. Powinna dotyczyć również irańskich rakiet i polityki zagranicznej ajatollahów, co sprowadzałoby się do ubezwłasnowolnienia Iranu w obu tych sprawach. Sam tylko mistrz dealu raczy wiedzieć, jak przekonać Teheran do takich ustępstw.

Z polskiej perspektywy najciekawsze jest jednak stanowisko Europy. Najpierw dominowała teoria *adults in the room* – wokół prezydenta USA jest tylu rozsądnych doradców, wojskowych, często z bogatym, międzynarodowym doświadczeniem, że nie pozwolą mu robić głupot. Myny Europejskiemu rzedły, gdy ci doradcy zaczęli zniknąć z polityki: najpierw Tillerson, potem McMaster.

Drugą fazą było *appeasement* – zaspokajanie oczekiwań prezydenta USA. Gdy więc Biały Dom zaczął sugerować, że odstąpi od porozumienia z Iranem, zachodnioeuropejscy liderzy rozpoczęli pielgrzymki do Waszyngtonu, aby odwieść Trumpa od tego pomysłu. I po odbiciu się od ściany próbowali go podejść, zgadzając się – wbrew temu, co jeszcze niedawno mówili – z częścią jego zarzutów dotyczących tej umowy. Sama Angela Merkel przyznała, że nie jest ona doskonała, że trzeba ją poprawić. Efekt był taki, że Trump ich wszystkich wysłuchał, a potem i tak zrobił swoje.

3 Ostatecznie Trump zapowiedział, że wszystkie, również nie-amerykańskie firmy obecne w USA zostaną ukarane za robienie biznesów w Iranie. To będzie cios przede wszystkim w takie europejskie giganty jak francuski Total czy niemiecki Siemens, które zainwestowały już tam miliardy. Tu jest więc szansa na przejście Europy do trzeciej fazy, czyli fazy odwetu. Dlatego pojawił się m.in. pomysł z lat 90., aby karać europejskie firmy, które uległy amerykańskiemu szantażowi i wycofały się z Iranu. ▶

